

ROZDZIAŁ I

Wszystkie światła pogasły, tylko między oknami w zielonawej, kryształowej kuli mżył się rozpierchły, ledwie dojrzany płomyk, jak gdyby świętojański robaczek, trzepoczący się w ciemnościach.

Cisza zapadła nagle, cisza pełna dręczącego oczekiwania.

Siedzieli z przyczajoną uwagą, skupieni aż do martwoty*, a pełni szarpiącego niepokoju i ledwie powstrzymywanych dygotów trwogi.

Czas płynął wolno w przerażającym milczeniu, w dławiącej okropnej ciszy trwożnych przeczuwań, że jeno niekiedy jakieś stłumione westchnienie wionęło w ciemnościach, podłoga zatrzeszczała, aż drgnęła gwałtownie, to nierozpoznany szelest, jakby lot ptaka, okrążał ich głowy, łopotał po pokoju, wiał

* Skupieni aż do martwoty – oznacza skrajną koncentrację, bezruch lub zastygnięcie w napięciu. (Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji.)

chłodem na rozgorączkowane twarze i marł w mro-
kach rozelkanym szelestem...

I znowu przepływały chwile długie jak wieki, chwile
milczenia dręczącego i oczekiwania.

Naraz stół drgnął, zakolysał się gwałtownie, uniósł
w powietrze i opadł bez szelestu na podłogę.

Lodowaty dreszcz wstrząsnął sercami, ktoś krzyk-
nął, ktoś załkał nerwowo, ktoś zerwał się jakby do
ucieczki. Palące tchnienie trwogi przewiało w ciem-
nościach i zakłębiło się w duszach bolesnym, męczą-
cym drżeniem, ale wnet przygasło wszystko, zdławio-
ne przez straszne pragnienie zjaw.

O cud błagały trwogi wszystkie i dusze, rozpięte
w bolesnej tęsknocie.

Cisza stała się jeszcze głębszą, powstrzymywano
oddechy, tłumiono strachliwe bicie serc, wyężano
całą siłę woli, aby nie zadrgnąć, nie szepnąć, nie po-
ruszyć się, nie patrzeć nawet i martwić w takiej ci-
chości*, że ruch jakiegoś zegarka przewiercał serca
bezustannym, bolesnym dygotem i bił w skroniach
ciężkimi młotami.

Szum głuchy, bełkotliwy a rozwiany i daleki, jakby
morza odpływającego, wrzał monotennie za oknami,
deszcz zaczął bezustannie, brzęczał cicho i po zapo-
conych, szarzejących szybach spływał nieskończo-
nymi sznurami paciorków i szemrał sennie, szemrał

* Martwić w cichości, czyli pograżać się w głębokim smutku,
cierpieniu lub żalu w zupełnym milczeniu, bez okazywania emocji
i bez narzekania.

lękliwie, to wiatr obijał się o szyby i ze zduszonym, żalonym krzykiem obsuwał się martwo po ścianach, a potem jakieś drzewa, podobne do strzępiastych chmur, drzewa ślepe i nieme, nachylały się cicho do okien, chwiały się cieniem ledwie uchwytnym, jak sen nieprzypomniany, i jak sen przepadły w mrokach.

A pokój wciąż był głuchy, niemy i przepastny jak otchłań, tylko ten zielonawy płomyk, niby gwiazda odbita w czarnej topieli, drgał ustawicznie, rozpryskując się świetlistą larwą, jakby spod wody skłębionej, albo jakieś spojrzenie zamigotało rozwianym płomieniem i wnet marło w ciemnościach mętnych, pełnych a nieuchwytnych, zaledwie wycutych falowań, niedojrzałych ruchów, drgań niepokojących, szeptów zmarzniętych, konających połysków i przyczajonej, dygotającej trwogi.

Stół znowu wyrwał się spod rąk, roztrącił siedzących, uniósł się gwałtownie i z hukiem padł na swoje miejsce, łańcuch rąk się przerwał, zerwało się kilka okrzyków, ktoś skoczył w bok do światła.

– Cicho... Na miejsca... Cicho! – zabrzmiał rozkazujący głos.

Ręce splotły się znowu w łańcuch nieprzerwany, przymilkli z nagłą, ale już nikt nie potrafił pokonać nerwowego drżenia, dłonie się trzęsły, serca dygotały i duszę przelatywał wicher świętej trwogi, pochylano się nad stołem jak nad niepojętą, tajemniczą istotą, której ruch każdy był cudem widowym, cudem żywym.

Joe, przewodniczący, zaczął szeptać modlitwę, a za nim roztrzęsionymi wargami powtarzano coraz prędeej, coraz mocniej, iż ciemność rozbrzmiewała szmerem lotnym, namiętym, wyrwanym spod serc, z głębi dusz olśnionych. Słowa padały rozwiane, płonące wiarą, wiotkie jak tchnienie, a potężne żądzą objawień, pragnieniem cudów.

Naraz z drugiego pokoju, czy z głębi jakiejś, rozbrzmiał przytłumiony głos fisharmonii*.

Jęk zamarł w gardłach ściśniętych, dusze padły w senny lęk, jakby przed skonem, nikt bowiem nie czekał tej muzyki, nie wiedział, skąd płyną te tony, nie rozumiał, zali to dźwięki żywe czy omam słodki?

Opadli piersiami na stół, bo nikt już sił nie miał, trzymali się kurczowo za ręce, bojąc się puścić, bojąc się przepaść w samotności. Cisnęli się do siebie ramionami i, stłoczeni, drżący, przejęci świętym dreszczem zachwyty, zanurzali się w te dziwne dźwięki przewiewające, niby wiatr pieściwy, po strunach harfy niewidzialnej.

I tak zapomnieli o wszystkim, że nikt już nie wiedział, rzeczywistość to – li sen czarowny?

A muzyka rozchyłała się w ciemnościach kadzielnym tchnieniem modlitwy żarliwej, rosą srebrzystych dźwięków, powiewem melodii tak słodkiej, że dusze

* Fisharmonia – instrument muzyczny klawiszowy z miechem i pedałem, używany zamiast organów.

chwiały się w rozmarzeniu upajającym jak kwiaty
w noc miesięczną.

I śpiewem się podniosła uroczystym, potężnym,
rozległym, jakby świat cały śpiewał.

I krzykiem duszy zagubionej we wszechświecie,
łkała żałośnie...

I wyżej wznosiła się jeszcze, aż w hymny ławych
zachwyceń i w dal takich roztęsknień, że była już jak-
by emanacją nowych bytów, rodzących się z tajemni-
cy i marzenia.

Jeszcze nie ochłonęli z wrażenia, jeszcze dusze,
niby krze* płomieniste, chwiały się sennie w rytm ko-
nających dźwięków, gdy drzwi od przedpokoju otwar-
ły się na oścież, struga światła runęła słupem na pod-
łogę i w progu ukazała się wysoka, jasna postać.

Porwali się z miejsc, ale nim ktokolwiek zdołał
krzyknąć, postać owa poruszyła się i szła wolno świe-
tlistym pasem, szła sztywno i ciężko z wyciągnięty-
mi rękami, przystając co mgnienie i kołysząc się całą
postacią.

Drzwi się zamknęły bez szmeru i noc znowu ogar-
nęła wszystko.

- Kto jesteś? – zatrzepotało zdławione pytanie.
- Daisy... – wionął szept zgoła niematerialny.
- Długo będziecie z nami?
- Nie... Nie...

* Krze (l. mn. od kra) – zazwyczaj: pływające tafle lodu, tu:
nawiązanie do czegoś chłodnego, a zarazem zwanego i unoszącego
się w przestrzeni.

– Gdzie twoje ciało?

– Tam... W pokoju... Śpię... Wołałeś... Przyszłam...
Guru...

Szept się płatał i tak ścichł, że tylko bezdźwięczne, porwane drgania szemrały w ciemnościach.

Mr Joe nacisnął guzik i elektryczne światło zalało pokój.

– Daisy! – krzyknął jakiś człowiek, rzucając się ku niej, ale stanął naraz jak gromem rażony, bo zwróciła ślepą twarz ku niemu, usiłując coś mówić, poruszając wargami.

– Nie, nie Daisy... Ta sama i obca, inna zarazem...

Pochylił się ze zdumienia i przyczajonym, trwożnym wzrokiem obiegał twarz jej i postać całą, ta sama twarz, a rysy inne, obce, obce...

„Daisy! Nie, nie...”, krzyczało w nim zdumienie, i przypomnienia wiły mu się błyskawicami szaleństwa, strachu, lęku strasznego.

Nic nie rozumiał, nie mógł pojąć tej zmiany dziwnej, zdało mu się, że śni ciężko, że jakieś zwierciadlane odbicie Daisy stanęło przed nim i rozwieje się zaraz, natychmiast, szczerze* jak widmo.

Zamknął oczy i otworzył je natychmiast, ale Daisy stała na dawnym miejscu, była, widział ją w najdrobniejszych szczegółach, że cofnął się naraz, bo spojrzała na niego posępnym, otchłannym, obcym

* Szczerzyć – dawniej: zniknąć, przepaść bez śladu lub umrzeć. W kontekście negatywnym: życzenie komuś czegoś złego.

wzrokiem, a tak strasznym, iż padł na samo dno trwogi.

Wszyscy stali również w lodowatym odrętwieniu.

Mr Joe zaś lękliwie podszedł do niej i dotknął palcami jej powiek, zatrzepotały i opadły mocno, a potem, stopniowo, dotykał jej skroni, rąk, piersi, ramion, przeciągał kilka pasów nad głową, cofnął się i rozkazująco powiedział:

– Pójdź!

Nie poruszyła się z miejsca.

– Pójdź! – zawołał silniej, cofając się z wolna i nie spuszczać z niej wzroku. Drgnęła nagle i, jakby z trudem odrywając się od posadzki, zaczęła się posuwać za nim sztywnym, automatycznym ruchem, w głąb sąsiedniego pokoju, jasno oświetłego.

Nikt się przez ten czas nie poruszył, nie westchnął głośniejsz, nie zadrgnął, wszystkie oczy szły za nią.

Mr Joe wziął ją za rękę i podprowadził do wielkiej sof, ustawionej na środku pokoju; upadła na nią bezwładnie.

– Możesz mówić? – pytał, pochylając się nad nią.

– Mogę...

– Czy jesteś sama, Daisy?

– Nie pytaj...

– Czy nikt z nas nie przeszkadza?

– Nie, nie... Cóż może przeszkodzić woli „A” – mówiła.

Głos miała nie swój, zupełnie obcy, a chwilami jakby płynący z fonografu*, trupi jakiś, wydobywał się martwym szmerem wprost z gardła, bo nie poruszała ustami, ni żadnym muskulem twarzy.

– Więc wszystkim wolno pozostać w pokoju? – pytał znowu Mr Joe.

Nie odpowiedziała, tylko poruszyła się niecierpliwie, podnosząc ciężkie powieki, że wywrócone oczy błysnęły białkami, jakiś uśmiech przewiał po bladej jak kreda twarzy, wyciągnęła rękę w próżnię, jakby witając kogoś niewidzialnego, i zaczęła coś półgłosem szeptać.

Mr Joe słuchał uważnie, ale na próżno usiłował zrozumieć cokolwiek, mówiła w zupełnie nieznanym języku.

– Co mówisz? – spytał po chwili, kładąc dłoń na jej czole.

– Sarwatassida!

– Mahatma?**

– Ten, który jest, który wypełnia wszystko, który jest „A”, mój duch...

– Czy zechce mówić przez ciebie?

– Nie męcz mnie...

– Czy stanie się co dzisiaj? Bracia są zebrani, czekają w trwodze, czekają w błaganiu o znak jaki, o cud.

* Fonograf – wynalazek Thomasa Edisona poprzedzający gramofon.

** Mahatma (sanskryt.) – wywodzący się z Indii honorowy tytuł duchowy; dosłownie: „wielki duchem”.

– Nikt z wcielonych nie jest godzien cudów! Nikt! – zabrzmiał mocny, potężny, męski głos, a tak silny jak przez spiżową tubę płynący.

Joe cofnął się przerażony, wodząc oczami dokoła, ale w pokoju nie było nikogo. Daisy leżała bez ruchu, światła płonęły jasno i cała grupa zebranych stała w drugim pokoju, na wprost niego.

– Niechaj on gra! On! – szepnęła, unosząc się i wskazując ręką na Zenona, i zaraz padła w tył, wyprężona, sztywna, i tak już pozostała.

Próżno Joe usiłował zmusić ją do rozmowy, leżała martwa jak trup, ręce miała zimne i twarz pokrytą lodowatą rosą.

– Zupełna katalepsja*! Nic nie rozumiem – szepnął bojaźliwie.

– Cóż poczniemy? – zapytał ktoś.

– Módlmy się i czekajmy.

– Czy to naprawdę Daisy? – pytał Zenon.

– Daisy... Nie wiem, może być, ale nie wiem.

Drzwi od okrągłego pokoju, gdzie leżała, zatrzasnęły się z hałasem.

– Siadać, cicho, rozpoczynamy!

Zenon siadł przed fisharmonią, stojącą w głębokiej niszy na prawo, wprost okien, i zaczął cicho grać.

Światła wtedy raptem pogasły, przez chwilę jeszcze żarzyły się w żyrandolu rozpalone węgle, potem,

* Katalepsja – zaburzenie psychoruchowe charakteryzujące się nagłym zeszywnieniem mięśni i bezruchem.

gdy szerniały, tylko kryształowa kula błyskała zielonawym, rozdrzanym światelkiem.

Usiedli pod ścianą, jeden przy drugim, nie tworząc już łańcucha.

Zenon grał jakiś hymn wzniosły, stłumione dźwięki brzmiały słodkim chorałem, dalekim, jakby z głębi niebotycznych naw płynącym, i rozsypywały się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Joe zaś ukląkł i zaczął się modlić półgłosem, przez chwilę słycać było odsuwanie krześel i trzeszczenie podłogi, śnać* przyklękli wszyscy, bo szept modlitewnych głosów zaszemrał rozpaloną, wrzącą ulewą i wtórował przejmującym falom muzyki.

Zenon grał coraz ciszej, dźwięki zamierały z wolna, głuchły i niby zakrzepłe perły opadały ciężko, że już tylko jakieś błędne akordy, jak pogubione westchnienia, błąkały się w ciszy, powracały jednak i łkały upiornie, przejmująco.

Po długiej chwili martwego milczenia, zerwały się znowu, niby krzyk na pustkowiu, krzyk nagły, przesywający, okropny!

I znowu opadała grobowa cisza, z której kiedy niekiedy wyrzywały się błędne, rozelkane, samotne akordy.

Modlitwa umilkła, ale ten głos monotony zrywał się co chwila, przycichał, konał i znowu powracał, znowu jęczał, znowu błąkał się, dreszcz zatrząsnął

* Śnać – dawniej: widocznie, zdaje się, prawdopodobnie lub zapewne.

wszystkimi, bo był jak rozpacz, jak krzyk padających w przepaść...

Joe nie mógł już wytrzymać i rozniecił światło.

Zenon siedział martwo, oczy miał przymknięte, głowę pochyloną na poręcz krzesła, prawa ręka leżała bez ruchu na kolanie, a lewą poruszał machinalnie, uderzając raz po raz w klawisze.

– Wpadł w trans! – szepnął, przygaszając znowu światła.

W pokoju zrobiło się wprost strasznie, siedzieli w grobowym milczeniu, skurczeni w bolesnym nabrzmieniu trwogi i oczekiwania, błędząc oczami w ciemnościach i czepiając się tego jedynego światełka jak zbawienia.

Chłód dziwny zawiewał od ścian, że, mimo rozgorączkowania, trzęśli się z zimna.

Cisza była już nie do wytrzymania, a ten powracający wciąż, monotonny akord przejmował coraz sroższą męką.

Naraz w ciemnościach zaczęło się coś stawać.

Najpierw szyfrowe tabliczki, leżące na stole, jęły się podnosić i opadać, jakby podrzucane, wreszcie trzasnęły w sufit i rozbitymi kawałkami posypały się na podłogę...

A po chwili zaczęły się rozsypywać w ciemnościach świetliste, niezliczone drgania, ale tak nikłe, tak drobne, że wydawały się próchnicową fosforescencją*,

* Fosforescencja – zjawisko fizyczne (rodzaj luminescencji) polegające na emisji światła przez substancję, która została wcześniej naświetlona.

opadały połyskującą rosą, osypywały się po ścianach, gęstniały z wolna i świeciły coraz mocniej, zalewając pokój błyszczącym, rozdrzanym tumanem, jakby śniegiem błękitnawym, opadającym bez szelestu sypką i pierzastą falą.

– Om! – zadźwigał w ciszy jasny, kryształowy głos.

I pochylili głowy, i chórem z trwożną pokorą i wzruszeniem, stłumionymi głosami zajęczeli błagalnie:

– Om! Om! Om!

Świetlista ulewa jeszcze się wzmogła, już teraz pokój był podobny do ciemnobłękitnej otchłani, przez którą przepływał potok gwiazdnych pyłów, tak jaśniejący, iż ściany, drzwi, obrazy, sprzęty i sine, wylękle twarze widać było dokładnie poprzez to rozdrzane, opadające bezustannie przedziwo błysków.

Mgławcy zarys postaci, świetlany majak, widmo, utkane ze światła, ukazało się naraz w drzwiach pokoju uśpionej.

– Om! Om! – szeptali coraz ciszej, cofając się pod ścianę i, przyparci do niej, zmartwieli w świętej zgrozie zdumienia.

Zjawa jakby kwiatem z rozchwianych płomieni uniosła się w górę, była jakby wytryskiem rozproszonego światła, z którego co chwila urabiał się zarys ludzkiej postaci i rozpryskiwał wybuchem krótkich, rozpylonych błysków.

Ulewa zgasła, pokój pociemniał, tylko zjawa błyszczącym ostro, żółtawym obłokiem unosiła się z wolna,

krążyła na parę stóp nad ziemią, stając się chwilami tak wyraźną w ludzkim kształcie, że widać było twarz kobietą, okoloną długimi włosami, zarysy ramion, i kontur całej postaci, a przez mgnienia i jakaś niebieskawa, mieniąca się płomieniami suknia widniała, ale niepodobna było dojrzeć rysów, bo to chwilowe skupienie światła, ten brzask rażący, z jakiego się urabiała, te połyskliwe, martwe drgania mieszały się ustawicznie, przelewały wirem bezustannym, że co mgnienie kontury się rozwalały w pył świetlisty i występowały na nowo.

Przez jakąś dłuższą chwilę widmo stało się pełnym kształtem ludzkim, przysuwając się tak blisko, że obłądny strach runął w nich piorunem, chwiała się tuż przed nimi, zbliżając swoją twarz okropną, twarz ślepią, bez rysów, jakby kulę, z grubsza obrąbaną i przedziurawioną czarnymi otworami, larwę, podobną do kłęby mgławicających się drobin świetlistych, larwę dręczącego snu i przerażenia.

Sunęła od jednego do drugiego, zaglądając pustymi oczodołami w ich zamarłe i ostygłe ze strachu oczy, i jakieś ręce śliskie, wilgotnawe, jakby z nagrzanego kauczuku, ręce okropne i trupie, ręce zgrozy niewypowiedzianej dotykały się wszystkich twarzy.

Ktoś jęknął ciężko, jakby przez sen dręczący, i widmo rozprysnęło się w tej chwili w migotliwy, świecący tuman.

Ale nim ochłonęli, zjawilo się znowu w niszy przy Zenonie.

– Daisy! – krzyknął bezwiednie Joe.

Wszyscy ją również poznali, tak, ona tam stała, wi-
dać było dokładnie, każdy rys twarzy występował ostro
w tej dziwnej jaśni*, promieniejącej z niej samej, każ-
dy szczegół postaci, nawet kolor włosów tak dobrze
im znany. Byli najgłębiej przekonani, że to ona sama
stoi w tym łagodnym brzasku promieniowań jakby
w jasnym obłoku.

Pochyliła się nad śpiącym, jakby mu coś chciała
szepnąć do ucha, a on podniósł się i z niewysłowio-
nym uśmiechem podał jej rękę i naraz, niby drzewo
rozłupane przez piorun, rozpadł się na dwie osoby.
Siedział w dawnej postawie z głową pochyloną na po-
ręcz krzesła i stał równocześnie w drugiej osobie przed
nią pochylony.

Krzyk zdumienia wyrwał się ze wszystkich ust
i padł zmartwiał, bo oto drzwi od pokoju okrągłego
rozwarły się i ujrzano Daisy, leżącą na sofie.

Dwa ciała leżały w śnie głębokim, równocześnie
dwie zjawy, dwa widma czy dwie dusze, przyobleczo-
ne w kształt widomy i płomieniejący światłem, dwa
jakby zwierciadlane odbicia Daisy i Zenona przesuw-
wały się w ciemnościach tuż przed nimi.

Jak to długo trwało? Mgnienie czy wieki, nikt nie
wiedział, nikt nie myślał i nikt nie pojmował.

* Dziwna jaśń – niezwykła, tajemnicza jasność.

W podziw wpadły dusze i klęczały w świętej grozie cudu.

W tej przeświętej chwili łaski Izys* odsłoniła rąbek zasłony przed łaknącymi światła, marzenia stawały się czymś więcej, niżli rzeczywistością, bo cudem niezrozumiałym, tajemniczym, niezgłębnym, ale cudem, żywymi oczami widzianym.

Poczuli się zawieszeni na krawędzi niepoznawalnego, jakby w samych głębiach stawań się i jakichś bytów nawet niemyślnych i rzeczy zgoła niepojętych dla ślepych oczu człowieczych.

Przepadła wszystka pamięć żywota, wszystek pył ziemski opadł z ich dusz, wszystka myśl spłonęła, że pozostali jeno jakoby w samym rdzeniu istności, przed którą odsłaniają się tajemnice wszelkie, boć oto tam, o parę kroków w ciemnościach drążyły się dwie jaśniejące postacie i trwał cud niepojęty. Cienie rysowały kontury, tworzyły ramę, z której tym wyraźniej promieniały zjawy świetlane, niby słupy martwych połysków, przenoszące się z miejsca na miejsce, bez szelestu i w takim milczeniu, że słyszeli przyśpieszone bicie serc własnych.

Z wolna, w jakiejś niepochwytnej, niezapamiętanej chwili, widma poczęły blednąć, przygasać, niewidzialnieć i wsączać się w ciemności, tylko głowy pozostały nieco dłużej, chwiejąc się jak kwiaty świetlane na

* Łaska Izys – nawiązanie do kultu Izydy, staroegipskiej bogini magii, płodności i odrodzenia.

falach cieniów, były wciąż przy sobie, poruszając się jakimś wahającym, rozdrzanym ruchem, znikwały na mgnienia w rozpryskach oślepiających blasków i wynurzały się jeszcze, ale już bledsze, niklejsze, wiotsze, podobne do witrażowych postaci w mrocznych nawach, jeszcze oczy jaśniały dawną mocą i życiem, a już rysy się rozpadały, już marł kształt ludzki, aż i spojrzenia przygasły zmęczone, jakby z nagłą zanurzone w mrokach i przepadły, rozsypały się w pyłach białawych, z wolna gasnących.

Skończyło się wszystko, noc ich znowu otoczyła i milczenie, nikt się jednak nie poruszył z miejsca, omdlałe serca ledwie biły, myśli dźwigały się leniwie i niechętnie, podnosiły się jakby z letargu zachwyceń i oczarowań.

Ach, znowu życie, znowu głupia rzeczywistość, znowu ten sam dzień powszedni, dzień męki nieskończonej i tęsknot – znowu!

Głuchy, daleki szum miasta bił monotonnym szmerem w okna, deszcz brzęczał po szybach, a światelko, uwięzione w kryształowej kuli, trzepotało się zielonawą, tajemniczą żrenicą jak niezgłębiona tęsknota, jak pamięć rzeczy minionych i niepowrotnych.

Dopiero po długiej chwili Joe się przemógł i rozniecił światła.

Drzwi do okrągłego pokoju były zamknięte, Zenon zaś siedział uśpiony na dawnym miejscu, przed fisharmonią.

– Trzeba go zbudzić, wyczerpie się.

Ale nim to uczyniono, sam się przebudził i powstał.
– Zdaje mi się, że spałem? – szepnął, przecierając oczy.

– Zaraz usnąłeś.

– Nie, grałem przecież coś, zdaje mi się, Bacha...

– Grałeś także i później.

– Przez sen?

– Byłeś w transie.

– I grałem! Prawda, przypomina mi się jakaś melodia... Zaraz, nie mogę jej schwycić, jakieś rozproszone dźwięki mam w pamięci, ale to dziwne, nigdy nie wpadałem w sen podobny...

– Czy nic więcej sobie nie przypominasz prócz tej melodii?

– Nie, a Daisy?

– Śpi jeszcze.

Zenon otworzył drzwi do okrągłego pokoju i stanął zdumiony.

– Ależ to ona... Nie spałem przecież, coś we mnie wmawiacie, przed chwilą mówiłem z nią, chodziliśmy razem po jakimś parku, tak, pamiętam, drzewa błękitne, mówiła... Zaraz, gdzie to było?

Obejrzał się naraz lękliwie.

Wszyscy stali dokoła, zapatrzeni w niego, ciekawo, a milczący.

– Coś się ze mną stało, czego nie mogę sobie przypomnieć... Tak mnie dziwnie boli głowa...

Zachwiał się, aż Joe ujął go wpół i posadził na krześle.